

Izabela Sianko

## Wojenne Wigilie, wojenne dni.

Był rok 1939 r. Nastroje społeczeństwa wydawały się być wyjątkowo dobre, a jednak było już wyczuć nurtującą gdzieś w głębi trudną do sprecyzowania i wydawałoby się niczym nieuzasadnioną obawę i niepokój.

Już w kwietniu i po raz drugi w czerwcu wezwano mężczyzn na parotygodniowe szkolenie i ćwiczenia wojskowe, a ponieważ objąć to nim także i 50 – latków, a więc panów w niezupełnie poborowym wiek należało przypuszczać, iż rząd nasz liczy poważnie z możliwościami wybuchu jeszcze w tym roku wojny, a właśnie w tym roku zostaliśmy zaproszeni na wakacje do majątku prof. Strażewiczów położonym wśród leśnej głuszy nad jeziorem i Wilią pod Wilnem.

- „Zobaczysz, Izuchno, jak tam u nas pięknie. Prosto z ona pokoju skaczesz do jeziora, a woda w rzece przezroczysta, że widzisz w niej otwarte na piaszczystym dnie muszle i ryby żerujące spokojnie wśród dennych wodorostów. A jakie tam tataraki i niezapominajki i jak pachnie mięta na trawiastym brzegu.

W lesie zaś jagód w bród i grzybów co niemiara. A i szkółkę roślin leczniczych panują już jesienią...” – tak zachęcał do przyjazdu profesor, który był najbliższym przyjacielem ojca.

Ale nie musiał mi przedstawić uroków Wileńszczyzny.

Już mając dwa lata zwiedzałem na ramionach studentów farmakognozji, którzy zakochani bez pamięć w mym ojcu, zabierali mnie na każde prowadzone przez niego ćwiczenia w terenie.

Dlaczego tak bardzo się cieszyłem na wyjazd w sierpniu.

Lecz stało się inaczej. Mój ojciec po powrocie z ostatnich przeszkoleń wojskowych stwierdził, że wojna już wisi na włosku i możemy nie zdążyć powrócić do domu, musimy zatem w lecie pozostać w Warszawie.

I stało się.

Już wczesnym rankiem usłyszeliśmy warkot samolotów.

Nadleciały z czarnym Hakenkreuzem na skrzydłach. Był piątek pierwszego września 1939 roku.

Zaczęły się alarmy, wycie syren poprzedzone ostrzeżeniami: Uwaga, uwaga... nadchodzi .... Ko ma... 53... i wybuchy jeszcze daleko wpadających bomb.

Trzeciego września w całym mieście entuzjazm. Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę. Nieznani sobie przechodnie rzucali się sobie w objęcia. Teraz już zwyciężymy, alianci są z nami. Jakże wielkie czekało nas rozczarowanie... Ale wtedy... wtedy wszyscy wierzyli w zwycięstwo.

Trzeciego września... moje imieniny. Tym razem nie dostało roweru, ani książek, lecz zestaw nożyczek, który jako sprzęt chirurgiczny miał stać się częścią wyposażenia swej torby sanitarnej w Powstaniu Warszawskim.

Wieczorem ojciec otrzymał rozkaz stawienia nazajutrz się w wyznaczonym miejscu koncentracji rządu, przez który został jeszcze w czerwcu wyreklamowany z wojska jako niezbędny w min. Zdrowia i o opieki Społecznej.

Zostaliśmy z mamą sami. Ja zgłosiłem się jako ochotnika do obrony przeciwlotniczej, ale moje dobre chęci nie zostały wykorzystywane.

Po apelu płk. Umiastowskiego 32 nasz lokator postanowił uciekać z Warszawy i namawiał mamę, by zrobiła to samo, ale wtedy ja sprzeciwiłam się temu mówiąc, że owszem, mogą jechać, lecz po moim trupie. Moja reakcja była stanowcza i niespodziewana, że w końcu zostaliśmy wszyscy.

Pewnej nocy jednak wyciągnięto mnie z łóżka i nie pytając kazano się ubierać, tym razem bowiem lokator nasz zdecydował się przenieść do biura przedstawicielstwa farmaceutycznej firmy Marek, którego był dyrektorem.

Jego rodzina wraz z adoptowaną do kompletu mama siedziała już w samochodzie, który szybko odjechał, a my teraz jest ja i mój brat wraz z dwoma służącymi podążaliśmy pieszo ich śladem.

To dobrze, że choć zabrali Mamę – pomyślałem - , bo po ostatnim uszkodzeniu łąkotki mogłaby nie dać rady dojść aż na Tłomackie.

Przed świtem jeszcze dotarliśmy do miejsce i tu rozlokowano nas w piwnicy domu pod nr. 4 na przytuszczonych skądś materacach. I tak zaczęła się nasza epopeja września 1939 r.

Już po kilku dniach okazało się, że popełniliśmy duży błąd uciekając z domu. Główne siły niemieckie nie atakowały Warszawy od strony Pól Bielańskich, czego najbardziej obawiał się nasz lokator, a Mama – np. cóż – nie chciała zostać z dziećmi sama w całym domu, zdecydowała się więc z konieczności dostosować do jego propozycji wyjazdu wszystkich razem.

Naloty niemieckich sił powietrznych stawały się co raz to dłuższe, liczniejsze i bardziej zaciekle.

Pod ich bombami domy rozlatywały się jak zapałki, a co najgorsze, najbardziej ulubionym ich celem było Śródmieście i Stare Miasto, gdzie – nasze domniemane bezpieczne schronienie.

Szybko zorientowaliśmy się, że Niemcy działają według z góry ustalonego planu-z przerwami na posiłki i sen, w tym też więc czasie wychodziliśmy 'z podziemi', by zdobyć coś do jedzenia.

Nie zawsze się to jednak udawało.

Pamiętam kolejki przed piekarnią, czy na Nalewkach, a które nie dochodząc do Pasażu Simonsa w ciągnące się długim węzłem w nadziei na kupienie pojawiające się nagle niemieckie samoloty, które bochenka chleba i przelatujące tuż nad ulicą i sieką z karabinów maszynowych w zaskoczoną ich pojawieniem i się ludność.

Pamiętam padłe wojskowe konie leżące na chodnikach.

Niektóre z nich jeszcze żyły na widok ludzi podnosiły łby w nadzieją na ratunek, a którym w odpowiedzi na to wycinano na żywo olbrzymie płyty mięsa, aby móc nimi zaspokoić głód. Nie czekano, aż zdechną. W pogoni za żywnością mogliby uprzedzić ich inni.

Z domu wyszliśmy tylko w letnim sandałkach. Mama zdecydowała więc, że trzeba zaopatrzyć nas w jakieś trwalsze obuwie, nie wiadomo bowiem, co nas jeszcze czeka. W tym celu wybrali „my się któregoś dnia” do miasta „-gdzieś w kierunku ul. Marszałkowskiej. Buty kupiliśmy, lecz w drodze powrotnej zaskoczył nas nalot.

Szczęśliwie za nami został już pusty Pl. Piłsudskiego, wbiegliśmy więc do kamienicy pod nr. 4 przy ul. Fredry, której potężna i solidnie zbudowana brama wydawała się na najbardziej bezpieczna. Bomba padały blisko, ale brama przetrwała.

Gdy samoloty odleciały, ludzie rzucali się tłumnie do wyjścia. Mama chciała pójść z nimi, ale sprzeciwiłam, się temu stanowczo.

Ależ, dziecko, nalot już się skończył,...

- Nie, zostajemy - Mamo, bardzo proszę..

- No dobrze, ale ile czasu mamy jeszcze czekać? –

- W porządku. Jeśli nie nadlecą w przebiegu pięciu minut, wyjdziemy...

Nie skończyłem jeszcze mówić, jak tuż ponad głowami rozległ się warkot wrażliwych samolotów lecących bardzo nisko i siekących gdzieś niedaleko z broni maszynowej. Po chwili odleciały.

- idziemy – powiedziałem.
- Ależ, tym razem Mama bała się powrotu.
- Nie Mamusiu – możemy iść spokojnie. Nic złego nas już nie spotka.

Wyszliśmy w drogę Tłomackie musieliśmy iść ul. Wierzbową i Bielańską. Od razu na Wierzbowej poraził nas makabryczny widok, którego do dzisiaj tkwi nie mogę zapomnieć. Na chodnikach i jezdni leżały rozrzucone ciała tych, którzy wyszli przed nami spod bramy, krew zbryzgała narożny mur przy ul. Fredry, a wśród krwi widniały wbite w jakąś niesłychaną siłą odpryski mózgow i kawałki kości. Nikt z nich już nie żył z trudem przeciskaliśmy się pomiędzy zwłokami, w końcu szczęśliwie dotarliśmy do „domu”.

Światła nie było, wodociągi stanęły i wodę trzeba było przynosić ze stawków na terenie Ogrodu Saskiego i odcedzał ją przed gotowaniem z robaków i glonów. Od czasu udawało się zdobyć odrobinę koniny.

- O nie, ja tego nie przełknę – powiedziała służąca, która lubiła zjeść smacznie i obficie.
- Kasia może nie jeść i robi, co zechce – powiedziała mama, ale przynajmniej proszę nie mówić o tym dzieciom, bo nic innego nie ma do zjedzenia.
- Co mówić, to mówić, a jedzenie będzie zaraz idą do domu i co trzeba, przyniosę co dam rady unieść. W domu pełno jedzenia, a my mamy ginąć.

Na nic się zdały próby i perswazje. Myśl o jedzeniu silniejsza była, niż strach przed nalotami. Zgodziła się tylko na to, by przekraczać się nocą w ciągu dnia odpoczywać.

I tak dobry jej apetyt kilkakrotnie uchronił nas wtedy przed głodem. Nadszedł jednak czas, gdy takie eskapady stały się zbyt niebezpieczne, a długie kolejki oczekujących na otwarcie piekarni w pobliżu Pasażu Simonsa na ul. Nalewki spuszczały się nisko niespodzianie „myśliwi” siekąc bezkarnie na tulącą się pod murami ludność.

Niebo, w dzień bure od kłębiący się dymów w noc przybierało barw dojrzałej pomarańczy, wysyconą tak jednolicie, że nie pozostawało ani skrawka miejsca na inny odcień w kolorycie barw.

Wieczorem, kiedy Niemcy udawali się na kolację, i miała miejsce przerwa w cyklu bombardowań stawali my przed bramę, by zorientować się w wielkości dokonanych zniszczeń. Tłomackie zmieniły się

w jedno wielkie gruzowisko. Prawie wszystkie domy leżały w ruinie. Właściwie ocalał tylko nasz budynek. Naprzeciw nas, gdzie obecnie przebiega linii tramwajowa wzdłuż nowo powstałej Alei Solidarności, trzymała się jeszcze pojedyncza ściana z pustyni oczodołami wypalonym okien. Jej szkielet rysował się ostro intensywną czernią na tle rozpalonego pożarami nieba. W otworach dwóch okien, jak na urągowisko, wisiał dwa niewypały bomb, które zaczepiwszy się w locie o jakąś gmatwaninę gratów – pozostałości po rozrywanych klajnowskie sklepienie – w każdej chwili groziły zerwaniem się i wybuchem. O jakimkolwiek rozbrojeniu ich nie mogło być mowy, bo jak się dostać na pionową ścianę, samotnie stojącą wśród ruin?

Jeden z nalotów był szczególnie ciężki. Bomby nie oszczędziły nawet rumowiska ulic. W końcu przyszła kolej i na nas.

Nagły świst pikującego a pełnych obrotach stukasa, huk, rumor walących się murów, kurzawa pyłu, wszechogarnia mrok, przez który przebił się histeryczny krzyk któregoś z mężczyzn:

- Zasypało nas! Stąd już nie ma wyjścia!

Kobiety i dzieci zamilkły.

- Proszę o spokój o prawdziwy, czy da się coś zrobić – odezwał się ktoś rozsądny i niespanikowany.

Gdy kurz trochę opadł, tak że można było rozeznaczyć otaczające nas przedmioty, paru panów podjęło próbę wydostania się na klatkę schodową. Okazało się, że dom się zawalił, ale ocalał fragment klatki

od tyłu budynku, przez, które można się precyzyjnie na trawiste podwórko otoczone ze wszystkich stron murem.

- Znow jesteśmy w więzieniu! Trzeba przebić mur! Wykrzyknęli zgodnie nasi panikarze i rzucili się ze znalezionymi w piwnicy kilofami, wściekle atakując „przeszkody do wolności”.

- Wystarczy, rzekli, gdy wykuli otwór, przez który precyzyjnie swe szczupłe sylwetki, przejście jednak było nie na tyle szerokie, by mogła przedostać się przez zeń reszta towarzystwa.

- Co tu wymyślić, dumiała moja mama-przecież dla nas nie zechcą poszerzy tej wyrwy.

- Rzuciła okiem na ich liczne bagaże i niemal pękające swoich walizki, i powiedziała:

- Panowie może przejdą, ale walizki panów nie zmieszczą się w tym przejściu.

- O rety, rzeczywiście – i panowie wzięli się raźnie do roboty, a mama obawiając się ich zmiennych nastrojów po raz pierwszy w życiu zaaplikowała nam po kilkanaście kropel waleriany, zdając sobie sprawę, jak bardzo mogą udzielić się dzieciom reakcje dorosłych.

Nadszedł w końcu dzień, kiedy w Warszawie zabrano nie tylko żywności i wody, ale przede wszystkim zabrakło amunicji. Już nie było czym walczyć. Podjęto rozmowy o poddaniu stolicy.

Dzień 27 września był dniem zawieszenia broni, można więc było wyjść z piwnic i wrócić do domu.

Wokoło trwała dzwoniąca w uszach cisza. Bez przeszkód dostaliśmy się na Pola Bielańskie i stanęli przed naszym domem.

W budynek trafiły na raz dwa pociski; jeden od strony zachodniej, drugą od południowozachodniej uszkadzając narożnik domu i wyrwijając z futryn weneckie okna. Na gazonie przed domem widniał duży lej, a obok leżała wyrwana z korzeniami nasza piękna magnolia. Ale dom stał i można w nim było zamieszkać na nowo.

Gdy weszliśmy, okazało się, że odłamki pocisku przebiwszy drzwi na wylot dotarły aż w głąb domu. Cały przedpokój był nimi zasypany.

Pierwszą czynnością, którą trzeba było wykonać, była likwidacja otworu po wyrwanym oknie. Weneckie, trójskrzydłowe, stanowiło dość powierzchnię, ale udało się ją zastąpić w braku innego materiału kilkoma poduszkami, upchanymi na tyle ściśle, że chroniły pokój przynajmniej przed wiatrem. Słabe to było zabezpieczenie przed zbliżającą się zimą, ale lepsze takie, niż żadne, zaś, napady bandyckie były przed wojną zjawiskiem tak niespotykanym, że myśl nam nie przeszkadzałyby brać je pod uwagę.

Po usunięciu gruzu ulokowaliśmy się w jednym z jako tako ocalałym pokoi, by zaoszczędzić węgiel, którego tylko resztką znajdowała się jeszcze w piwnicy. W najbliższym otoczeniu też widać było wyrwy, Narożna kamienica przy Podczaszyńskiego od numerem cała była posieczona pocisków od strony ul. Darcickiej. Piękna sosna rosnąca koło domu przy ul. Barcickiej 20 miała ścięty wierzchołek, co osłabiając siłę uderzenia ocaliło willę pod numerem 18, w której tynk w wielu miejscach nosił ślady jedynie odprysków. A sosna do dnia dzisiejszego zachowała swój dziwaczny bez wierzchołkowy kształt.

W dniu 29 września padł Modlin, a w Warszawie podpisano kapitulację.

Pierwszego października zaczęły wchodzić do Warszawy od strony północnej kolumny wojsk niemieckich.

Żołnierze szli dumnym, butnym krótkie zwycięzców, który głucho dudnił wśród ciszy opustoszałych nagle uliczek.

Mieszkańcy stolicy ukryli się gdzieś po zakamarkach, dezorientowani, załękli i niepewni jutra.

Przemarsz wojsk trwał prawie nieprzerwanie przez równe dwa dni.

Smutek nasz został nagle rozjaśniony w dniu 17 października, kiedy to około godziny 10 rano stanął na progu domu nasz Ojciec. Chudy i zarośnięty, w pomiętym ubraniu i – dzierzący pod pachą cały bochen chleba.

Radości i powitaniom nie było końca.

Okazało się, że z rządem dotarł do Zaleszczyk, do mostu stanowiącego naszą granicę z Rumunią, do której ewakuował się z wojskiem nasz rząd zmuszony do tego nagłym wkroczeniem do Polski wojsk armii radzieckiej w dniu 17 września /zgodnie z zawartym z Niemcami paktem Ribbentrop – Mołotow o wzajemnej pomocy militarnej w likwidacji Polski/.

Kraj nasz znalazł się nagle w kleszczach wojsk nieprzyjacielskich zaciskających się od strony zachodniej i wschodniej, oddziały nasze nie miały więc innego wyjścia, jak przekroczyć granicę rumuńską, przedostać się na zachód, by z wojskami aliantów prowadzić dalej wojnę, bo szans na dalszą obronę nie było.

Wielka Brytania i Francja wypowiedziały wszak Niemcom wojnę!

W dniu przekroczenia granic, tj. w dniu 18 września, tuż przed wejściem na most mój ojciec zdecydował, że zostaje w kraju, gdzie będzie bardziej potrzebny.

Ojciec przedzierał się w kierunku Warszawy, ale już w Dubnie dostał się w ręce zwiadu wojsk sowieckich i jako podejrzany, w to że jest oficerem został w trybie wojennym skazanym na śmierć.

Wyrok miano wykonać o świcie dnia następnego, a na razie na noc wsadzili go do jakiejś wartowni.

Zapadła noc. O ucieczce nie mogło być mowy. Grube kraty w okienku trzymały mocno, jak również drzwi, za którymi postawiono na wszelki wypadek wartownika.

Ojciec chwycił się zatem jedyne, wypróbowanego zresztą sposobu, że jeśli ktoś komuś wymyśla, to najwidoczniej ma do tego prawo, trzeba więc lepiej z takim ostrożnie, i zaczął gwałtownie walić pięścią w drzwi żądać, aby natychmiast sprowadzono do niego oficera. Nie chciano o tym słyszeć, lecz w końcu, czy dość krzyku, czy jednak coś w tym wszystkim wzbudziło ich niepokój, dość że rzezonego oficera sprowadzono pod okno. I wtedy dał ojciec upust wszelkim znanym w rosyjskim wojsku wulgaryzmem, grożąc, że jeśli go rozstrzelają, przyjdzie im za to bardzo drogo zapłacić.

Efekt „przemówienia” był rewelacyjny.

Widocznie sowiet zląkł się, że być może ma do czynienia z ich własnym tajniakiem i z kolei on wrzasnął:

- Wied on oczeń haraszo gawarit pa ruski.

Znacitsia on nasz człowiek. Odpustit danoj!

I tak po raz drugi w życiu ocalony, podjął ojciec dalszą samotną wędrówkę - częściej pieszo, czas mi napotkaną przypadkiem furmanką, tym razem już przez nikogo nie aresztowany.

A za pierwszym razem sytuacja była również zarówno podbramkowa. Jak bardzo dziwna.

Miało to miejsce w czasie I wojny światowej.

Czerkasy, w których ojciec znalazł się ze swoim oddziałem, 14 razy przechodziły z rąk do rąk – raz białych, raz czerwonych. Schwytyany i jako oficer skazany przez władze bolszewickie na śmierć, stał wraz z innymi pod ścianą. Żołnierze mieli już zarepetowaną broń, gdy w pewnej chwili jakiś nieznany ojcu oficer radziecki podszedł do ojca i wyprowadził z szeregu, a gdy zakryły już ich, tak że nie można ich było dotrzeć, powiedział tylko słowo: udiraj! – uciekaj, a sam oddalił się i zniknął na zakręcie ulicy, którą szli. A tym czasie sowiet rozstrzelali 5.000 wziętych do niewoli oficerów „białych” – ojciec to widział, bo szukał wśród nich swego rodzonego brata. Na szczęście go nie znalazł.

Do dziś ojciec nie wie, kim był jego wybawca i co go do takiego postępków skłoniło.

Ale w dniu 17 października 1939 r. był ojciec znowu w domu i zamiast odpocząć, ledwie tylko się umył i zmienił ubranie, od razu, jak on, zabrał się do pracy.

Na pierwszy ogień poszedł otwór po wyrwanym oknie, który zabił na głucho znaną dyktą zostawiając tylko niewielkie wycięcie, w które wstawił szybkę.

Następnie udał się na poszukiwanie pracy, którą znalazł w Instytucie Higieny w dziale surowic i szczepionek. Niemcy tak bali się epidemii i wszelkie, kontaktu z zarazkami, że w szczególności duru brzuszego, że chętnie zatrudnili tam fachowców-Polaków.

Dzięki temu z miejsca nawiązał współpracę zarówno zawodową, jak i konspiracyjną z prof. Kacprakiem, który tam również został zatrudniony.

W dniu 2 października K. Szelański – przedstawiciel Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenie Publiczne otrzymał od komendanta miasta gen. Konrada von Cochenhausena zezwolenie na otwarcie szkół, rozpoczęto więc i nauczanie w Żeńskim ogólnokształcącym Gimnazjum i Liceum im. Aleksandry Piłsudskiej w gmachu gimnazjum przy Placu Inwalidów 10, do którego po zdany egzaminie zostałem przyjęta w czerwcu 1939 r.

Z entuzjazmem zabrałyśmy się do pracy.

Nigdy nie zapomnę wykładów wspaniałej nauczycielki biologii, pani „Iprzyckiej. Utkwiła mi w pamięci szczególnie jedna lekcja – mała sakła, której okna wychodziły na ulicę Mickiewicza, słońce szeroką smugą wpadające do klasy, i jej wykład o aparacie gębowym osy, który w powiększeniu oglądałyśmy pod mikroskopem.

Niedługo jednak trwała nasza radość. W dniu 15 listopada, w czasie trwania – o ironio losu – lekcji z niemieckiego, wtargnęli do klasy Niemcy. Towarzyszyło im pod przymusem całe nasze nauczycielskie gremium.

Oznajmiono nam, że rozkazem cywilnych władz niemieckich wszystkie szkody od jutro zostają zamknięte w ce zapobieżenia w szerzeniu się epidemii duru.

Duru oczywiście żadnego nie było, decyzja ta była tylko konsekwencja postanowienia dotyczącego zastosowania polityki kulturalnej w stosunku do Polaków, które podjęto w dniu 31 października na konferencji z udziałem Goebbelsa i Franka w Krakowie.

„Polakom należy możliwość kształcenie się- stwierdził Frank – jedynie w takim zakresie, aby uświadomili sobie, że jako naród nie mają żadnych perspektyw.

...trzeba będzie w szerokim zakresie wprowadzić system głośników; będą one pełnić rolę... informacyjnej wobec Polaków”.<sup>1</sup> Na i wprowadzono-na wszystkich słupach – t. zw. przez Polaków „szczekaczki”.

7-go grudnia Urząd Szeryfa Dystryktu wydał i zezwoleniem na otwarcie szkół powszechnych i szkół dla analfabetów.

Wprawdzie już w listopadzie zaczęto myśleć o tajnym nauczaniu, organizowano komplety dla uczniów, których rano przez dyrekcją gimnazjów z lat przedwojennych, były to jednak pierwsze, nie zawsze dopracowane próby. Nie wiedzieliśmy o tym, że siostry Zmartwychstanki zorganizowały od 22. XI komplety w prywatnych mieszkaniach, a gdy zezwolono na otwarcie jedynie szkół powszechnych, również nie dotarła jeszcze do nas wiadomość, że w ramach nauczania w klasie VII realizowały program I klasy gimnazjum, większość więc dzieci spędziła czas okres do Nowego Roku we własnych domach, w których głównym problemem było zdobycie najbardziej podstawowych środków do

---

<sup>1</sup> „okupacja i ruch oporu w dzienniku Hansa Franka 1939-1942 tom I-str.81-wyd. Książka i wiedza – Warszawa 1970 r.

przetrwania i znalezienie dla własnej rodziny jakiegoś modus vivendi w nierozpoznanej jeszcze wojennej rzeczywistości.

Zewsząd zionęło pustką i zniszczeniem.

Zburzone domy, niezorane pola-leżące odłogiem-na których walały się w błocie żołnierskie hełmy, a wiatr strącał liście na świeżo wyrosłe mogiły.

Topole, topole, topole.

I zryte równi role,

Koń gniady – kopyta do góry-

topole, topole i chmury...

I przyplątała się wierzba,

w chustce kraciastej baba przeszła,

potem szły dęby i olchy-

dalej i dalej –

i szli żołnierze polscy-

poumierali.”

Tak widział ten obraz po bitwie poeta Mazowsza Broniewski. I takim zapamiętałam go sama.

A potem nagle spadły wielkie śniegi i skryły okaleczony kraj litosnym całunem. Znikły gdzieś drogi. Po wsiach pokrywa śnieżna sięgała dymników, a do budynków gospodarczych trzeba było wykopywać głębokie tunele.

W Mieście przyzmy zgarniętego między jezdnię i choć niki śniegu były tak wysokie, że przechodnie mijający się po dwóch stronach ulicy w ogóle się nie widzieli.

Do tego, jakby jeszcze mało było nieszczęść i utrapień mróz tak ścisnął w swych okowach udręczoną ziemię, że słupek na termometrze wykazywał poniżej 70 zera do 30 stopni, a nieraz jeszcze więcej.

W tej sytuacji ludzie obronili się w domach stłoczeni w jednym, choć trochę ogrzanym pokoju, w którym ciepłota nie sięgała wyżej, niż 6 czasami do 9 stopni.

Pamiętam, jak przytulona do letniego pieca, a mimo to cała odrętwiała z zimna, czytałam po raz pierwszy w życiu „Trylogię” Sienkiewicza wydobytą w naszej zasobnej bibliotece.

Szczęśliwie mieliśmy jeszcze odrobinę miodu, który ojciec co roku sprowadzał ze Zbaraża już w lecie, skape jego dawki osłaniały nas życie, węgiel jednak trzeba było oszczędzać.

Toteż mieszkańcy Pól Bielańskich zaczęli poszukiwać jakichś możliwości zaopatrzenia się w inny opał. Przed wojną, w trójkącie między ulicami : Marymoncką , Poczeszyńskiego i przedłużeniem w kierunku ulicy Kasprowicza, rósł sosnowo-akacjowy las obrzeżony od strony południowej brzożami, pod którymi wyrastał wiosną drugi las wychylających się znad ziemi przylaszczek. Biel pni brzożowych, rozniebieszczona ziemia wśród nich pod stopami, białe obłoki na błękitnym niebie, a wszystko to skapane w złocistym blasku wiosennego słońca, tworzyło tak piękny obraz, że do dzisiaj nie można go zapomnieć.

W 1937 r. lasek ogrodzono, wytyczono alejki, ustawiono ławki. Idealny teren do spacerów i wypoczynku, a jeśli dodać do tego jeszcze woń żywicy i akacjowych kwiatów, przedstawiał sobą niepoślednie walory zdrowotne.

Na pierwszy ogień poszedł ów las. Siatkę zwinięto może sprzedano na jakimś bazarze, a drzewa co jednego wycięto.

Jeszcze tylko akacje niezmordowanie walczyły przez parę lat o życie, co wiosną wypuszczając od nowa świata pędy, się i one musiały w końcu ulec ludzkiej przemocy, a opału uzyskanego po pierwszej wycince nie starczyło mieszkańcom nawet na jedną zimę.

Dziś wyrosło w tym miejscu osiedle projektu małżeństwa Piechotków, a poniżej stoku, gdzie kończył się las, co roku rozstasowuje się wędrowny cyrk cały zaś obramowany w/w ulicami obszar nosi dziś nazwę popularną „serek”.

Już w końcu września pierwsi mieszkańcy wstąpili do utworzonej w nocy 26/27 września tj. na kilka godzin przed poddaniem Warszawy, podziemnej organizacji „Służba Zwycięstwu Polski”, powstałej z inicjatywy prezydenta miasta – Stefana Starzyńskiego, organizacja ta jednak nie objęła jeszcze w tym czasie szerokich kręgów społeczeństwa więc rzeczy rodzinny krąg i zgromadzenie w nim ludzie tworzyli w tych miesiącach jedynie środowisko, w którym każdy mógł czuć się pewnie i bezpiecznie.

Kwitła również, choć wszystkim prawie mieszkańcom naszego osiedla żyło się dość trudno, zgrana pomoc sąsiedzka, ludzie stali się sobie bliżsi i bardziej życzliwi, a gdy zaczęły się rewizje i rozstrzeliwania, przeciwko w ogródkach między sąsiadami siatki, tak aby każdy, kto musiał uciekać, tą drogą mógł wydostać się na drugą, nieobstawioną jeszcze przez Niemców ulicę.

Zbliżały się Święta Bożego narodzenia. Jak bardzo byliśmy podobni do Bożej Dzieciny – głodni, zziębnięci, dygocący z zimna, z podmrażanymi palcami rąk i stóp, i niemający miejsca, gdzie moglibyśmy się ogrzać, a często i ukryć.

Cóż mogliśmy przygotować na wigilijną wieczerze?...

A przecież w ten święty wieczór tym bardziej teraz chcieliśmy zgromadzić się przy jednym stole i wspólnie spożyć posiłek.

Czegoż jednak człowiek nie wymyśli, gdy znajdzie się w takiej, jak ta, sytuacji?... Oczywiście, jak zawsze, był barszcz, buraków na szczęście nie traktowało – można je było kupić w graniczącej z Polami Bielańskimi wiosce Wawrzyszew. Zamiast ryby i grzybów – pierogi. A potem ciasto – ale jakie ciasto!

Tak zwany piernik robiło się w równych częściach z marchwi, kaszy manny i mąki. Po wyciągnięciu z pieca otrzymywało się zapieczone brzegi wypełnione pomarańczową, ciągnącą się masą.

Drugim „delikatesem” były „marcepanki”. Te wykonywało się z prażonej mąki zmieszanej z olejem arakowym i wodą formując z uzyskanej w ten sposób masy maleńkie kulki.

Smutny, lecz zarazem był ów pierwszy wojenny wigilijny, bo jednak pomimo wszystko – znów byliśmy razem, bo była choinka i był biały opłatek, którym mogliśmy się z wszystkimi podzielić.

I nawet z Wawzyszewa przyszli kołędnicy – zmarznięci dzieci wojny śpiewające cieniutkimi głosami.

A nas już wtedy w domu było sporo więcej, bo do nas czworga dołączyli wrześniowi pogorzelcy stryjeczny brat mamy z siostrami i własną rodziną.

W chyba to już wtedy zaśpiewaliśmy tę pierwszą kolędę okresu okupacji, która potem rozprzestrzeniała się po wielu domach:

„Nie zorana nasza rola  
Pod zasiew jesieni –  
puste stoją szara pola  
w krwawej łun czerwieni.  
Nie zorały ziemi pługi  
I nie przeszły po niej brony,  
Jeno w dżdżyste teszarugi  
Wicher pędził przez zagony  
Jeno wicher, deszcz i zawody-  
dwaj Boży siewacze –  
jęk nie jednej piersi młodej –  
rozlali tu płacze ;  
Jeno krople krwi spływały  
z tej rany, co zawsze boli,



jeno krzyże powzrastały  
na tej naszej polskiej roli.  
I nie wszędzie nam zielona  
ruń na niwach z wiosną  
jeno krzyże na zagonach  
świeżym mchem porosną.  
Ach, i kiedyż, wielki Boże,  
Żniwo wreszcie nam zapłaci  
za siew mogił na ugorze,  
za krew naszych drogich braci.  
Podnieś rękę, Boże Dziecię,  
Błogosław Ojczyznę miłą-  
W dobrych radach, w mężnym bycie  
wspieraj jej siły swą siłą!  
Podnieś i okryj ją chwałą  
między wolnymi ludami.  
a Słowo Ciałem się stało  
i mieszkało między nami.

Skuleni z zimna, w domu zabitym jak się da deskami, śpiewaliśmy tą pierwszą kolędę podziemia, a wokół głęboka noc przykryła ciemnym baldachimem niebo i mróz się w śniegu miliardami gwiazd, malując na maleńkiej szybkoce wprawionej w żabi tą dyktą okienną futrynę przepuszczone festony paprociowych liści.

W tym samym czasie pierwszy polski oddział partyzancki, złożony z żołnierzy, którzy się rzucili broni, świętował pod dowództwem mjr Henryka Dobrzańskiego – „Hubala” i w towarzystwie okolicznego ziemiaństwa swą pierwszą wigilię na Kieleckiej ziemi w zasypanej śniegiem leśniczówce Bielawy, a po wieczery odśpiewaniu kolęd ułożono swą pierwszą partyzancką Pieśń Hubalczyków”;<sup>2</sup>

A potem pasterka w kościółku w Studzianej – Poświatnem co przywabiło do oddziału filipina z miejscowego klasztoru – księdza Muchę. Odważnie, choć z duszą na ramieniu się on potajemnie ze swej na linie również z ukrycia przyglądał się jego przeor, przymrużywszy filuternie oko.

Nie że sprostał on niestety trudom takiego żywota, jaki z konieczności musieli prowadzić oddział partyzancki, odszedł więc „do cywila”, ale zauroczony panującą w oddziale do końca życia czuł się hubalczykiem i taki napis kazał wyryć na swym grobie.

Minęły święta Bożego Narodzenia, minął Nowy Rok, kiedy to cały Wydzielony Oddział stawił się in grenio na mszy świętej w Studzianej, a oni trwali w lasach w oczekiwaniu na wiosenną ofensywą aliantów.

Nie tylko oni. Cały naród wierzył, że z wiosną ruszy z Zachodu natarcie.

Zima wasza, wiosna nasza – powtarzali wszyscy i było to jak hasło, które pozwalało przetrwać i mróz i głód i całą okupacyjną rzeczywistość budząc nadzieję i dodając sił.

Zaraz po Nowym Roku moja mama odkryła, że przy ul. Bogumiła Zuga /7, 9, 11,?/ Mieszka polonistka – pani Zofia Nowicka, która zgodziła się dołączyć mnie do już korzystającego z jej wykładów Romana Świątka i przerobić z nami program I klasy gimnazjum.

Był to wielki wysiłek finansowy ze strony moich rodziców bowiem praca w Instytucie Higieny dawała zarobek minimalny, ale w naszej rodzinie nauka i wiedza zawsze były ważniejsze, niż masło i chleb.

---

1- Pochodzenie tej pieśni nie jest zupełnie jasne. Melchior Wańkowicz pisząc „hubalczyków” w Rzymie na podstawie wspomnień Romana Rodziewicza – hubalczyka w 1945 r., a więc zaraz po wojnie, a niemal na żywo przekazuje ją jako pieśń Hubalczyków, aktualnie jednak ona 5 zwrotek, z których trzcina wspomina „Ponurego”, którego działalność na terenie Kielecczyny datuje się dopiero od 1943 r., należy więc przypuszczać, że żołnierze „ponurego” dopisani następane strofy i przejęli za swoją pieśń.

Nie widzieliśmy więc w ciągu całej wojny masła, ni nabiału, a po jednej kromce białego chleba jedliśmy tylko cztery razy do roku tj. w dzień imienin każdego z nas, ale oboje z bratem nauki nie przerwaliśmy.

Pani Zofia okazała się wyśmienitym pedagogiem nie tylko w zakresie języka polskiego, lecz i wszystkich innych przedmiotów chodziłam więc na jej lekcje z prawdziwą przyjemnością, choć uczęszczanie na nie kończyła się nie raz odmrożenia mi palców rąk i stóp.

W końcu jednak stopniały śniegi i nadeszła wiosna przepiękna, rozkwiecona tysiącami chciała wynagrodzić nam wszystkie bóle i udręki zimy.

Pamiętam – szłam właśnie na lekcje p. Zofii. Cały świat pachniał świeżo spadłym deszczem. Przyroda budziła się do nowego życia. W przywillowych ogródkach pojawiła się pierwsza zieleń. Nagle w jednym z ogródków zobaczyłem wspaniałe, czerwone tulipany z grubych jędrnych łodygach, które wprost urzekły swym liście królewskim przepychem. Na ich płatkach lśniły jeszcze spływające powoli krople dżdżu. Ziemia pachniała już wolą rodzenia.

Czas, by pomyśleć, jak zaspokoić doskwierający prawie wszystkim głód. Wprowadzone przez Niemców. t.z. Lebenmittelskarte, które miały zapewnić wszystkie życiowe potrzeby zapewniały 740 kalorii na osobę w skali rocznej łącznie: 8,8 kg. Cukru, 5,4 kg. soli, 3,6 kg. mąki, 1 kg. makaronu, tyleż marmolady, o 1 kg. kaszy 1,6 kg. mięsa – przeważnie kości z jakimś ochłapami., 84 kg. ziemniaków, 18 sztuk jajek. I to wszystko trzeba podzielić przez 12, by uzyskać zaopatrzenie ludności polskiej w skali miesięcznej.

Wkrótce okazało się, że Polacy mają zdolności handlowe. Na trasach kolejowych między Warszawa Na trasach kolejowych między Warszawą i okolicznymi wsiami zaroiło się nagle od nowonarodzonych „żywicieli” wygłodzonej przez zimę stolicy.

Nie bez powodu powstała wtedy nowa pieśń ludu warszawskie rozpowszechniana przez gazeciarzy – młodych twórców wywodzących się z t.z. dołów społecznych, a dziś „królów” chodników i stołecznych tramwajów, pod trzymujących upadłych na duchu, budzących w ludziach nadzieje, wywołujących na twarzach uśmiech, w sercu odprężenie:

„Tera jest wojna  
kto handluje, ten żyje.  
Jak sprzeda kaszanke,  
Słoninę rąbanke,  
to bimbru się też napije.....”

Za przyłapanie na pokątnym handlu można było wylądować w obozie koncentracyjnym, a w najlepszym wypadku traciło się dały przewożony towar, toteż kobiety okręcone w pasie pościami słoniny i petami kiełbasy, zabierały nawet malutkie dzieci wózkach, na których dnie pod becikiem ukrywało się mięso, mężczyźni usiłowali wchodzić w układy z Niemcami, co im się czasem nawet udawało.

Ceny za przemycony w taki sposób towar osiągały z natury rzeczony zawrotne sumy, a pieniądze na ich pokrycie mieli tylko niektórzy, trzeba więc było pomyśleć o innym sposobie zdobycia podstawowych środków do życia.

Przed Zakładem wychowawczym im. Aleksandry Piłsudskich przy Pl. Konfederacji 42/44 (dziś Dom Dziecka im. Maryny Falskiej – Al. Zjednoczenia 34) rozciągał się pas nieużytków, na którym dopiero po wojnie wybudowano domy oddzielając tam samym Pl. Konfederacji od Alei.

Zadumali się nad ich przeznaczeniem mieszkańcy Pól Bielańskich i –rada w radę – postanowili podzielić je na równo działaność, które sprawiedliwie rozdzielono pomiędzy zamieszkałe na naszym terenie rodziny. Dzięki temu mieliśmy przynajmniej ziemniaki i pomidory. Aparaty udawało się kupić w sąsiedniej wsi Wawrzyszew, a czasem soczewicę. Na memu zatem składało na przemieszane na przeróżny sposób w/w produkty. O jajkach serze, nie mówiąc już o mięsie w ogóle być mowy.

Przeszła wiosna i lato. Ta „nasza wiosna” legła znowu w gruzach.

Już wtedy wiedzieliśmy, że podczas narady dotyczącej oświaty, jak odbyła się w dniu 10 stycznia 1940 r. w Krakowie stwierdzono /dr. Kajetah wypowiedź Muhlmanna – kier. Wydz. Kultury i sekretarz stanu w rządzie Generalnego Gubernatora/, że:

„... należy już najszybciej zmienić ... przerost aparatu oświatowego, nad produkcję inteligencji i liczbę zawodów umysłowych bowiem, to.. właśnie przyczyną niepokojów i źródłem niezgody między inteligencją polską, a szerokimi masami”!

W związku z powyższym postanowiono udzielić zezwolenia na otwarcie szkół zawodowych, rzemieślniczych i niższych rolniczych. Siostry zmartwychstanki, które prowadziły przed wojną szkołę krawiecką w Wielkopolsce i teraz, po wysiedleniu z Poznańskiego, miały dostarczoną ilość personelu do zorganizowania szkoły w tymże profilu, otrzymywały w marcu tegoż roku zgodę na otwarcie 3-letniej szkoły krawieckiej tj. z uprawnieniami w stopniu czeladnika bez prawa zdawania egzaminów mistrzowskich.

Tak więc już w lecie 1940 r. nastąpił nabór do I klasy Pri.handwerkschule fur Schneiderinen/ z tajnym nauczaniem w zakresie klasy II . Tak się złożyło, że byłam uzdolniona w bardzo wielu dziedzinach, ale z całą pewnością nie dotyczyło to umiejętności krawieckich, cóż jednak było robić. Zmartwychstanki, do których uczęszczałem jeszcze w szkole powszechnej, miały swoją renomę, nie było również sensu uganiać się po kompletach szkoły rolniczej /moje hobby/, tym bardziej że o ile dobrze byliśmy poinformowani przedmiotów z ich programu tam nie nauczano.

Tak więc pewnego ciepłego, ale osnutego już mgiełką jesieni popołudnia zjawiłem się z ojcem u sióstr by zdać eksternistyczny egzamin z zakresie I klasy gimnazjum. Wejście była od tyłu, od strony ogrodu, Na grządkach pyszniły się różnokolorowe astry. Egzamin zdałam dobrze. Jesienią zaczęły się lekcje.

Zbliżały się drugie wojenne święta Bożego Narodzenia. Na Zachodzie już sformowały się polskie oddziały z tych, którym udało się uciec z Rumunii i poprzez Budapeszt, Jugosławię, czy Włochy, przedostać się najpierw do Francji, następnie do Wielkiej Brytanii.

I stamtąd właśnie zawiłymi drogami przedostała się do Polski ich tułacza kolęda:

„Bóg się rodzi, a my w świecie  
po okopach rozproszeni  
sławe Polski na bagnecie  
roznosimy po tej ziemi  
by się wrogom nie zdawało,  
a słowo Ciałem się stało  
i mieszkało między nami.  
Idą króle zawołani,  
Ozdobieni cną prostotą,  
Panu swemu niosą w dani  
Myrrę, kadzidło i złoto.  
Daj, by zło nie zwyciężyło,  
Miłuj się nad narodami,  
a słowo Ciałem się stało  
i mieszkało między nami.  
Zstąp na ziemię, Synu Boży,  
gdzie krzyżami droga znaczą;  
w wigilijnym blasku zorzy  
powiedz naszym; niech nie płaczą.  
bo przyjdziemy, gdy zadnieje,  
jak powraca wiatr falami,  
a słowo Ciałem się stało  
i mieszkało między nami.

Lecz nie tylko kolędy. Były również trudne, wygnańcze tęsknoty przeżywane na obczyźnie, z daleka od kraju.

I oto któregoś dnia ukochany przez nas polinista, pan prof. Piątkiewicz oznajmił nam zaraz na początku lekcji, że zamiast zwykłego programu ma dla nas niespodziankę i zgrabiętymi jeszcze z zimna palcami wyciągnął ukrytą za podszewką cieniutką bibułkę i zaczął czytać:

„Drzewa idą ku niebu. Jest muzyka słoty.  
/Struny deszczu cieniutkie-wiatr na nich gra.../.  
Na trawie jak obłoki-rozpięte namioty.  
Księżyc spływa po rzęsach / księżyc, może łza?.../.  
O, jak daleko wiatrom w drodze do Ojczyzny,  
I jak daleko Twoim, moja Matko snom!  
Smutek jest zawsze szary zmierzch od smutków żyzny....  
/tamto wzgórze jak z Polski, tylko że za mgłą?  
Jeśli kiedyś powrócę, opowiem Ci, Mamo  
o Szkocji i o morzu ogromnym jak śpiew.  
Dowiesz się, że tęsknota wszędzie taka sama,  
Że wszędzie jednakowo kipi młody gniew.  
Poznałem różne nieba, różne widnokreśli.  
Otwieram świat na rozcież i idę ku krwi.  
Ja – żołnierz wierny głosem najtrwalszej przysięgi-  
w sercu mi Polska żyje, w oczach żyjesz Ty....  
Mamo – drzewa ku niebu idą . Deszcz rzęsisty  
Spadł – krople błyszczą – to różaniec nasz.  
Odczytuję przed nocą Twoje stare listy...  
/Może wiatr szkocki płacze, a może Ty łkasz?.../.

Nie było wtedy wiadomo, kto ten wiersz napisał – może zginął wraz z autorem, przedarłszy się tylko w odpisie przez pilnie strzeżone granice, ale wtedy, gdy słuchałyśmy go w milczeniu, wpatrzona w cieniutki paseczek papieru, obierałyśmy go jak objawienie, jak list z tamtego – wolnego świata, który otwarcie walczy z równie jawnym wrogiem, jak jaskółkę wolności, pierwszą wiadomość stamtąd, gdzie powiewają również i polskie sztandary tak bardzo stęsknione powrotu do ojczyzny.

Po odczytaniu wiersza długo trwała cisza. Przeżywałyśmy nie tylko treść „Listu ze Szkocji”, ale i nagle pogłębioną więź z naszym profesorem.

A życie w tym czasie tętniło już konspiracją, w domu pełno gazetek, w szkole nie raz visy, których nie zdążyło się oddać po skończonej akcji – i tak po domu i szkole powstało trzecie środowisko, w którym można było czuć się wśród swoich bezpiecznie, pomimo butnych kroków na ulicach i nieustanego; Hajli, haj lo....

Znowu przeszła wigilia, mijały następne, a wizja szybkiego zakończenia wojny zaczęła się stopniowo oddalać i blednąć.

Pocieszano się jednak zawsze jednakowo dowcipem, kpina, wyczynami chłopców z Małego Sabotażu”...

I tak na zapytanie jednak z pasażerek tramwaju jadącego w stronę Mokotowa: „Panie motorniczy, czy daleko do Niepodległości?”-

-„Jeszcze niecały roczek, przez pani informował usłużnie.

-Słoneczko wyżej, Sikorski bliżej- przekazywano sobie `wiadomość` w wielkiej tajemnicy i każdy wierzył, a przynajmniej chciał wierzyć, że ta wigilia, którą właśnie święci jest już ostatnią w przeciągu tej wojny, a napisy pojawiające się co noc na murach budynków, malowane wytrwale przez harcerzy z podziemia, wiarę tę umacniały i podtrzymywały – wielu ludzi zdało sobie wtedy sprawę z tego, co to znaczy wierzyć i żyć ta nadzieją.

Bo jak to nie uwierzyć szybkie zakończenie wojny, gdy okazuje się, że:

„Deutschland liegt an allen Fronten” /przerobione z: `siegt” na wielkim niemieckim plakacie/, gdy strzelające w niebo, co ma znaczyć „Victoria” przemienia się w „Deutschlaverloren”, a Hitler wisi już na szubienicy.

Gdy latarnie opatrzone są napisem „Nur für Deutsche” ze strzałką skierowaną odpowiednio w dół.

Kiliński zdjęty przez Niemców z cokołu i umieszczony w podziemiach Muzeum Narodowego informował nagle napisem na murze tegoż muzeum: „Narodzin polski! Jan tu” - Kiliński”, a przykryty na pomniku Kopernika niemiecki napis odślaniał nagle swą prawdziwą treść....

Dzień powszechni był jednak trudny do przeżycia.

Stałe łapanki, budy na ulicach, rewizje, więzienia, tortury, egzekucje. Nigdy nie było wiadomo, do których drzwi i kiedy załomocą. Ginęli jednakowo: Bogu ducha tylko winni cywile, handlarze żywnością, i ludzie podziemia.

Lasy w Palmirach zapełniły się rozstrzelowanymi, w Al. Szucha t.zw. „tramwaje”; nieludzkie metody znęcania się na pojmanymi, balkony traktowane jako szubienice....

To nic, że wyzwolono więźniów w akcji pod Arsenalem, że dokonano zamachu na Kutscherę – żąda odwetu narastała z dnia na dzień i nadszedł wreszcie czas, że nic już nie mogło go wstrzymać. Nadszedł czas patriotycznego zrywu, gdy naród powstał, by wywalczyć wolność.

A potem przyszedł czas, gdy oflagi, stalagi i obozy w Pruszkowie wchłonęły powstańców i ludność cywilną, a Warszawa systematycznie „doburzana” przez Vernichtungskommando przestała praktycznie istnieć.

I wtedy w grudniu, w tę ostatnią wojenną wigilię, narodziła się nowa kolęda-kolęda tęsknoty, przesiąknięta poczuciem dobrze spełnionego wobec Ojczyzny obowiązku, zwana „Kolędą Warszawską:

Żołnierze drogą maszerował  
Poprzez góry, lasy, polem-  
Pastuszkowie go spotkali,  
do Betlejem wiedli społem.  
Choć był bardzo utrudzony  
Jednak śpieszył się on wielce,  
Bo w plecaku niósł Dzieciątka  
Z Warszawy strudzone serce-  
Tę kolędę tę jedyną,  
Śpiewam dla Ciebie, Dziecino,  
Daj, bym przetrwał wszystkie boje  
I znów ujrział miasto swoje.....  
Za wolnością zatęskniony  
Idę walczyć w inne strony,  
ale daj, bym przetrwał boje  
i znów ujrział miasto moje!  
Serce młode i gorące,  
co walczyło w zapomnieniu  
przez słoneczne dwa miesiące,  
zapomniało o cierpieniu.  
Przed stajenką się zebrali  
Króle, pany, pastuszkowie-  
Piękne dary poskładali,  
aby Jezus wybrał sobie.

Tę kolędę tę jedyną...  
A wśród tłumu, za wszystkimi,  
słody, ale pełen sławy,  
w mundurze zniszczonym bardzo  
stał polski żołnierz z Warszawy...

Dzieciąteczko go poznało,  
Uśmiechnęło się do niego  
I spośród darów wybrało  
Serce żołnierza polskiego.  
Tę kolędę...

Czy można nie wspomnieć, jak świętowano te wigilię w maleńkim dworku w Witowie, zagubionym wśród lasów kieleckich?

Nasz Szpital Powstańczy nr. 203, mieszczący się Zakładzie Wychowawczym Nasz Dom im. Aleksandry Piłsudskiej przy Pl. Konfederacji 42/44 na Polach Bielańskich ewakuowano w całość rano w dniu 30 września do warsztatów kolejowych w Pruszkowie zwanych Obozem Przejściowym „Dulag 121”, w którym przebywaliśmy do 2 października, skąd w odkrytych wagonach bydłych skierowano nas jak poinformowali nas kolejarze – „na mydło”, w rzeczywistości jednak do Stradomia, gdzie noc spędzili my nadal na stojąco, a następnie przez Częstochowę do Koniecpola, gdzie oczekiwali już nas przedstawiciele miejscowych władz w osobach; p. Karola Szlichcińskiego – przewodniczącego Komitetu Gminnego RGO w Irządzach i dr. Stanisława Dzieciuchowicza, wysiedlonego z Rawicza i prowadzącego ta oficjalnie praktykę lekarską, a nieoficjalnie pod ps. „Lancet”-przedstawiciel placówki AK w Irządzach i nas przysły opiekuna z ramienia tej organizacji na noc.

Ulokowane nas w Domu Ludowym w Koniecpolu i potraktowano pierwszym od wyjazdu z Warszawy posiłkiem /nie licząc 2 sucharków, obdzieliła nas kierowniczka w Pruszkowie/. Rosół z kawałkami kurczaka i makaronem – pierwszy raz od 1939 roku.

Nazajutrz przewieziono nas podwodami /personel pieszo/ do Irządza, stąd po nocy prześpiewanej z przybyłymi, by nas powitać partyzantami, przetransportowano nas do Witowa – niegdyś dużego majątku, liczącego 1.000 hektarów, teraz resztówce z walącym się małym dworkiem, zarządzanym w imieniu właścicieli –pp Zarembów, przez ich szwagierkę p. Zofie Zambrzycką.

Rannych powstańców umieszczono w dworku, rannych cywilów w budynku szkolnym.

Warunki były więcej, niż trudne. Nie było oświetlenia, nie było kanalizacji, co w warunkach szpitalnych stanowiło nie lada problem. Brakło bandaży.

Zdejmowane z ran przy zmianie opatrunku trzeba było gotować, a ze studni wyciągało się wodę wielką drewnianym korbą- cebrzykiem, który sam ważył około 20 kilo. Nie dość tego. Gdy nastąpiły mrozy, i ścięty lodem śnieg ustawicznie polewany rozlewana wodą, cembrowina studni zrównała się wkrótce z oblodzoną ziemią, ta że w każdej chwili groziło potknięcie i upadek w głąb studni, aby zaś wygotować zaropiałe bandaże, trzeba było wspiąć się z cebrzykiem po schodach, by sięgnąć kotła stojącego na wysokim piecu. A takich „wiaderek” trzeba było wciągnąć dziennie 32.

Początkowo ranni leżeli na siennikach i słomie na podłodze, ale potem kapelan polowy –O, Leon Szelaąg zbił prycze z desek wyproszonych gdzieś po domostwach we wsi. Sanitariuszki spały po dwie na zmianę pod schodami.

Wyżywienie wziętą na siebie majątek w Siedliska należący do hrabiów Komorowskich, którzy dzielili się ze wszystkimi tym, co sami mieli, ale i im już wówczas wszystkiego brakowało, toteż głównym naszym posiłkiem była zupa „plujka”, czyli rozbełtane płatki owsiane na wodzie.

Któregoś wieczoru dyżurna koleżanka, która udała się do pałacu po codzienny przydział 2 litrów mleka, zastała akurat rodzinę państwa Komorowskich przy kolacji.

Pełna gala, kamerdynerzy czuwający nad właściwą obsługą posiłku i – odrobina kaszy jęczmiennej na srebrnych talerzach. Wprawdzie ks. Leon znów zdobył gdzieś krowę i osobiście sporządził kiełbasy, które zawieszono na strychu na sznurkach, by należycie wyschły, ale gdy przyszła pora skorzystania z takiego przysmaku, okazało się, że na belkach wiszą tylko sznurki, bo o taki posiłek postarały się szczury.

Praca w takich warunkach wymagała wielkiego hartu ducha, nie mówiąc już o ogromnym wysiłku fizycznym, ducha jednak sanitariuszkom-harcerkom nigdy nie brakowało.

Nie brakowało go również wspaniałemu chirurgowi dr. Mieczysławowi Pobiedze, pod którego sprawną, delikatną ręką goiły się na oczach wszystkie niezabliźnione jeszcze dotąd rany. Myślę, że to samo myśleli o tym partyzanci, których lekarze stał się od pierwszego dniach, zgłaszając się zaraz po naszym przybyciu pod rozkazy placówki AK Irzadze.

Trudno również przecenić wkład O. Leona, który był duszą wszystkich gospodarczych przedsięwzięć.

Mimo takich warunków, które tylko niewiele osób w normalnych okolicznościach mogłoby wytrzymać urządzano co tydzień wieczorki poetyckie z deklamacjami i śpiewaniem pieśni patriotycznych, których organizowanych i szeroko układem tematycznym zajęli się:

1 – Edmund Jankowski – w czasie okupacji wykładowca historii w tajnym gimnazjum księży Marianów w zespole po kamedulskim na Bielanych funkcjonującym oficjalnie jako szkoła drogowa; czasie powstania sanitariusz naszego szpitala, po wojnie prof. dr. Hab. Instytutu Badań Literackich PAN /ur. 16.XII 1912 – zm. 26.IV. 1991r. /.

2 – Sława Imielówna-studentka dziennikarstwa-w szpitalu jako ranna – zmarła na wiosnę 1945 r. po oddaniu jednemu z powstańców krwi, gdy miała jeszcze nie zagojone rany. Wywiązało się zapalenie szpiku i białaczka.

3 – Zbigniew Jagiełło – sparaliżowany cywil z Bielan.

I tak powstała pieśń – kolęda przygotowana na zbliżające się święta Bożego Narodzenia.

Przybieżeli do Witowa w Warszawie

Zostawili poza sobą ślad krwawy...

Biada dumnej stolicy /bis/.

A złości zagłada

Zostawili swój dobytek i mienie,

A przywieźli rany, blizny, cierpienie-

Biada dumnej stolicy....

A tymczasem Dziecię Jezus się żali,

Że gród Jego miłowany się pali-

Biada...

A tymczasem Dzieciąteczko wciąż płacze,

że wysiekli tylu ludzi siepacze-

Biada...

I wśród płaczu Dzieciąteczko powiada,

że mordercza słuszną karę wnet zada-

Biada, ludziom złej woli,

Biada ludziom złej woli,

A złości zagłada!...

A potem druga:

Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi:

Wstańcie, Polacy, Bóg się wam rodzi.

Czym prędzej się wybierajcie,

Panu dary swe składajcie-

dary cierpienia.

Bóg się narodził w gruzach Stolicy,  
W leju bombowym farnej dzwonnicy-  
Czym prędzej się wybierajcie...  
Wstało Dzieciątko z swego posłania,  
Ruiny ulic rączką osłania,  
Rączynami gruzy tuli.  
Swojej skarży się Matuli – Polski Królowej .  
Ufajmy przeto, że Bóg jest z nami,  
Wzniesiem Stolicę ponad gruzami,  
Gdy jest taka wola Boża,  
Oprzem Polskę o dwa morza-  
Polskę Chrystusa.

Nadszedł wreszcie oczekiwany wieczór wigilijny, śnieg do pól łydek, taki, że aby zdobyć wodę do spraw gospodarskich, trzeba było najpierw wyrąbywać w pobliskim stawku przeręble.

Przybyli goście: p. Franuś Płatek-dowódca podporządkowanego Armii Krajowej oddziału BCh-prawa ręką Piotra Stolarskiego, d-cy Okręgu AK, przybyli inni opiekunowie szpitala.

Ojciec Leon przełamał hostię, która z konieczności, wobec braku opłatka, musiała tego wieczoru przejąć jego rolę, i tak od pryczy do pryczy i potem z personelem łamano ten chleb – ku lepszemu jutru, ku przetrwaniu i narodzenia się nowej sprawiedliwej Polski.

A potem dla gości wypożyczone od pp Zarembów krzesła, dla personelu deski przełożona pomiędzy pryczami – barszcz i przemarznęte, zdobyte we wsi ziemniaki, jakiś gmiot ciasta i wreszcie kolędy: kolędy te tradycyjne i te powstaniowe, nie zapomniano także o naszych oddziałach walczących na Zachodzie i śpiewano o tych drogich i bliskich, co „po okopach rozproszeni, imię Polski na bagnecie – wciąż roznoszą po przestrzeni.

I wreszcie jasełka, na które przybyło bardzo wielu gości; a więc hrabina z książąt Sapiehów, ob. Komorski ze swymi gośćmi z pałacu, ksiądz proboszcz z parafii Irządzie, d-ca Okręgu AK-p. Piotr Stolarski, d-ca BCh p. Branciszek Płatek oczywiście w otoczeniu swoich partyzantów i inni.

Jak te mogło się zdarzyć, że pod okiem Niemców można było organizować tak polskie uroczystości?...

Sprawa była dość prosta. Cała niemal młodzież z okolicznych wsi była w tutejszych oddziałach partyzanckich, kwaterujących w lasach, otaczających szczelnym niemal pierścieniem Koniecpol, Irządze, aż po Jędrzejów, Janów i Szczekociny. Niemcy tylko ostrożnie odważali zapuszczać się w te strony we dnie, w nocy wszystkie wsie znajdowały się pod ochroną „lasu” – stąd nazw, jak się przyjęła dla Placówki nr. 16 w Irządzach: Wolna Rzeczpospolita – Irządze.

Tak więc można było śpiewać, mając świadomość, że wieś otaczają ze wszystkich stron wystawione tam czujki Pramusia, jak zwykle się nazywać pana Płatka.

W jasełkach wystąpili liczni przebiera królowie, pastuszkowie – nie zabrakło także harcerza z Warszawy, którego rolę grał synek pp Zarembów – Janek – naturalnie z polskie orzełkiem na wykombinowanej skądś furażerce.

Z znów popłynęła pieśń, ułożona przez Sławkę, Zbyszka i p. Jankowskiego:

Harcerski pas, za pasem broń,  
A w torbie tajne rozkazy  
Wytyczaj słuch, na placówkę goń-  
To wzór harcerza bez skazy.  
Dla harcerstwa nie ma życia.  
Jak w służbie Narodu –  
Dla Ojczyzny ratowania  
Słodkie paść za młodu....



Donośny krzyk i goniec padł  
Harcerski los dopełniony-,  
Lecz rozkaz jest – podjął do druh – brat-  
Szczeń triumf szwabskiej obrony..  
Dla harcerstwa nie ma życia....

O jasełkach „we dworku” wiedzieli mieszkańcy okolicznych wsi i domagali się ich powtórzenia. Ze względu na wielką liczbę chętnych i ciasnotę w szpitalu jasełka te powtarzane więc wielokrotnie, udano się nawet z nimi do oddalonych o 15 km. Sokolnik, gdzie zakwaterowano dzieci z „Naszego Domu”, które wieziono transportem wcześniejszym od naszego.

Szpital dotrwał w tym samym składzie do „wyzwolenia” z dn. 1945 r. W czasie walk partyzancko-niemieckich, a potem niemiecko-sowieckich został „wzbogacony” o rannych partyzantów, znalezionych w lesie żołnierzy Wehrmachtu i żołnierzy Armii Czerwonej. Rozwiązał się dopiero w połowie lutego, po oddaniu ostatniego rannego rodzinie lub miejskim szpitalom.

Warszawa leżała w gruzach, ale była oficjalnie wolna. Warszawiacy nie poddają się łatwo. Tak jak trwali w opozycji walcząc przeciw planom Pabsta, tak teraz mimo rozkazów nowokreowanego lubelskiego rządu, czy nie zostawić zgliszczy i przenieść stolicę Polski do Lublina, czy innego miasta, niebacznymi na śnieg i mróz dochodzący do 30 C, na wiatr podrywający ostrze igły z firnu i raniące twarz, ciągnęli z wszystkich stron do ukochanego miasta.

Już w styczniu na pustkowiu martwych białych pól pojawiły się postacie okutane w płachty i wyblakłe chusty, rysujące się na tle białych płaszczyzn śniegu jak ciemny, wijący się w skrętach, ginący gdzieś za horyzontem wąż. Smagani wichrem, przeniknięci do szpiku kości narastającym z godziny na godzinę mrozem, zapadając się co chwila po kolana w śniegu, gdy jego zlodowaciała powłoka pękała pod ciężarem ciała, ciągnęli warszawiacy o swojej stolicy.

Drogami, manowcami,  
Tysiącem ścieżek krwawych  
Wracamy do twych ruin-  
Dzieci wolnej Warszawy.  
Siadamy gdzieś w piwnicy  
Wśród domu \rumowiska –  
Patrzemy, jak na życiu  
Śmierć piętno swe wyciska...  
Życie się czai trwożnie  
W odmęcie wspomnień krwawych  
Trwamy – nad śmierć mocniejsi –  
My – troglodyci Warszawy.

I my również staliśmy w dniu 13 marca przed szkieletem naszego spalonego przez własowców domu, ciągnąc na sankach cały nasz dobytek: poduszkę, jakąś poszarpaną kołdrę, dwa garnki i jedną litrową butelkę- cenną zdobycz na czerpanie wody.

Ulica Kasprowicza leżała na gruzach. Wszystkie wzniesione przed wojną kamienice zostały wysadzone przed wojną kamienice zostały po upadku Powstania przez Vernichtungskommamdo w powietrze, wille w bocznych uliczkach spalone, tak jak nasz, przez oddziały Własowa.

Jeden z bliźniaków domku stojącego naprzeciw naszego nie zdążył się dopalić, spaliśmy więc w ocalałym pokoju wraz z innymi pogorzalcami na podłodze pokotem.

17 osób ściśniętych jak śledzie, przewracając się na drugi bok tylko na podane hasło. Po wodę w kolejne do zamulono studni u sąsiadów trzeba było co najmniej pół nocy uzyskując odrobinę mętnej, żółtej wody.

15-go marca ruszyły szkoły, chodziliśmy więc piesze na Pl. Inwalidów 10, gdzie w budynku gimnazjum im. Aleksandry Piłsudskiej, ale na razie spod firmą „Poniatówki” otwarto wspólne dla obu szkół liceum,.

W naszej klasie było początkowo 9 tylko uczniów . Stopniowo u oflagów, obozów, szpitali, nadciągali następnie tak że przy końcu roku liczba ta wzrosła do 45-ciu.

Wśród uczniów była już i Jadzia Pawłowska, której cudem udało się wykaraskać z odniesionych ran, jej kolega ze szkoły powszechnej /p/ ul. Kolektorskiej/, również żołnierze AK i powstaniec Szczepan Ziemiańczyk, dołączył do nas również Andrzej Pol kuszyka dzielnie jeszcze z nogą w gipsie po przestrzeleniu uda w czasie na Powiślu.

Pamiętam, że na Placu Wilsona, w miejscu dzisiejszej jezdni przed przystankiem autobusowym w kierunku śródmieścia i naprzeciwko obecnego „luta Turystycznego „Orbis’, znajdował się głęboki lej po bombie, który musieliśmy okrążyć i to bardzo ostrożnie, by nie obsunąć się w dół razem z sypką ziemią.

Uczyli nas przede wszystkim nauczyciele z Męskiego Gimnazjum in. Ks. Józefa Poniatowskiego.

Nie mieliśmy podręczników. Nikomu nie ocalały.

Musieliśmy zapamiętywać to, co nam wykładano na lekcjach.

Nie wiem dlaczego, ale zamiast programu II licealnej przerabialiśmy jeszcze raz czwarta gimnazjalną.

Zeszytów nie było również, ale od czego pomysłowość – potrzeba jest ponoć matką wynalazków. Wkrótce odkryliśmy, że Niemcy, uciekając po zostawili w barakach na lotnisku duże ilości t.zw. Fluhansade, - rozkazów lotów, które drukowane były tylko z jednej strony, mogły więc – po drugiej – służyć na notatki. Po zbiciu ich gwoździami otrzymywaliśmy praktyczne i funkcjonalne zeszyty.

Szkoła była oczywiście pozbawiona na szyb, a maszyn nie jest jednym z najcieplejszych miesięcy w roku. Nie wytrzymując z zimna co 10-15 minut robiliśmy przerwę, by rozgrzać zgrabiące palce zabijaniem rąk, a częstym pytaniem naszego przemilego łacinnika zwanego przez nas „Pingwinem” na początku lekcji, czy ktoś z nas nie wie, gdzie można zdobyć węgiel. Oczywiście nikt, z nas nie potrafił udzielić takiej informacji.

Życie w domu też nie było najbardziej różowe.

Nie tylko węgla nam brakło. Nie było także i wody. W ogródku bodajże pod numerem 9 znajdowała się wprawdzie bez pompy i bardzo leniwie sączą przez piasek i jakiś namul wodę, ale jej wydajność jej wydajność tak znikoma, że nie było mowy o zaspokojeniu z potrzeb nawet najbliższych jej użytkowników.

Wieczorem mężczyźni ustawiali się w długiej kolejce, aby nad ranem przynieść trochę mętnej wody, co wystarczyło jedynie na ugotowanie zupy, a do umycia się każdy trzymał pół spodeczka wody i wacik, by móc wytrzeć przynajmniej twarz i ręce.

W tym czasie mieszkaliśmy już u tychże sąsiadów w na pół wypalonym pokoiku o wymiarach 4 m.x 1,6?

Z wydrążoną po środku dziurą przez zbłąkany szrapnel.

Z jednej strony mieściły się dwa jedne za drugim dwa wyciągnięte spośród gruzów łóżka, z drugiej strony przykręcona do pieca w miejsce drzwiczek terma.

Małeńki stolik i kaganek z knotem wkręconym w wystrzeloną łuski z karabinu uzupełniały całość umeblowania. Żeby się przez cisnąć między stolikiem i ścianą, trzeba było poruszać się bokiem.

Sprawę termy wzięła na siebie mama. Wstawała o północy, by na godzinę 6 zdążyć ugotować dla nas po talerzu zacierki, poczem ja z bratem szliśmy do swych szkół, a ojciec, by zorganizować w Warszawie Ministerstwo Zdrowia, które w tym czasie mieściło się w Lublinie, szedł z Bielan pieszo na ul. Chocimską, by tam z dwoma zwerbowany przez siebie kolegami jako tako przygotować teren.

Pomimo tego nie brakowało nam siły ducha i nawet wydobywanych jakąś niezwykłą wprost siłą z sil fizycznych.

W chwilach wolnych od pracy, a była ją niestety jedynie niedziela, ojciec wywoził na wykoślawionych poprzez ogień taczkach gruz ze szkieletu spalonego domu, a młodzież tj. ja z koleżanką i kolegą z klasy jeździliśmy platformą ojca tegoż kolegi nad Wisłę i z wozili piasek na przyszłe o tankowanie ścian.

Nie pamiętam już jaką drogą dotarł do mnie rozkaz, by zorganizować w naszej szkole grupę uczniów rekrutujących się „Szarych Szeregów”, aby dokonać ekshumacji Danusi Jaxa-Bykowskiej ps. „Klara”, która ciężko ranna w nogę w czasie powstania nie pozwoliła na jej amputację, mimo że był to jedyny ratunek wobec coraz wyżej sięgającej gangreny. Nie wyobrażała ona sobie życia w takim inwalidztwie i zmarła w Szpitalu Powstańczym przy ul. Krechowieckiej 6 w dniu 16 września 1944 r. i została pochowana na skwerze po drugiej stronie szpitala.

Danuta /Daśka/ Jaxa – Bykowska była drużynową Warszawskiej Żeńskiej Drużyny Harcerskiej /WZDH/ - „Puszcza”, w późniejszych latach dodatkowo-zastępcą „Wędrowniczek-kandydatek na instruktorki, kierowniczką obozów harcerskich w czasie okupacji. Równocześnie studiowała tajne medycynę w dwuletniej Prywatnej Szkole Zawodowej dla Pomocniczego Personelu Sanitarnego, /Private Fachschule für Sanitares Hilfspersonal in Warschau/ założonej przez doc. Dr. Jana Zaorskiego na krakowskim Przedmieściu pod nr. 26/28.

Cała rodzina Danusi brała czynny udział w konspiracji:

-ojciec – Czesław -, przedwojenny prof. Uniwersytetu w Poznaniu, w czasie okupacji wykładowca geografii w tajnym gimnazjum sióstr Zmartwychstanek, czynnym pod szyldem Prywatnej Żeńskiej Szkoły Krawieckiej S. Marii Przybyłowicz /Priv. Handwerksschule für Schnelderin in S. Marie Przybyłowicz/ przy ul. Krasieńskiego /Weichselsrsee/ 31.

- żona Zofia – kierowniczką Podziemnego harcerstwa Sanitariatu Warszawy Dzielnicy Żoliborz.

W jej mieszkaniu w żoliborskim feniksos – pisze Maria kann w swojej książce 'Niebo Nieznane „ – w każdym pokoju działa się co innego. Tu spotkanie, tam odprawa sanitarna ... w kuchni .. Kobiety przyrządzając pasztety, pakując paczki dla więźniów.

Mąż skarżył się dobrodusznie „żądła dla niego nie ma miejsca w domu i że musi pracować na parapecie za oknem”.

- córka Hanka – harcerka – uczestniczka obozów organizowanych przez siostrę w „Białej Chacie”.

Gdy w nocy 17/18 maja 1943 r. gestapo aresztowało p. Zofię i Hanke, która wróciła z prac konspiracyjnych w Wawrzyszewie do domu tylko na jedną noc, profesor poinformowała nas o tym poczta pantoflowa, poszedł dobrowolnie wraz z nimi.

Danusia ocalała wtedy dzięki temu, że pełniła tej nocy dyżur w szpitalu.

A teraz mieliśmy ją ekshumować.

Ksiądz Trószyński już na nas czekał. Z jej rodziny nie było nikogo. Ocalała tylko jedna jej ciotka, która ze względu na stan zdrowia nie mogła przyjechać z Poznania.

Gdy chłopcy odrzucili ziemię, widok był wstrząsający. Zwykła, drewniana skrzynka, fetor, wypełzające ze wszystkich szpar robactwo Hic transit gloria mundi...

Ksiądz odmówił za zmarłą modlitwy, chłopcy załadowali skrzynkę na zwykłą furmankę i w skromnym kondukcje składającym się tylko z żołnierzy AK odprowadziliśmy ją na wojskowy cmentarz powązkowski.

Jeszcze parę słów o ks. Zygmuncie Trószyńskim Marianinie-proboszczu parafii Matki Boskiej Królowej Polski przy ul. Gdańskiej 6 / na Marymoncie / - Kościół zbudowany na ruinach kaplicy pałacu Królowej Marysieńki Marie Mount-stąd nazwa Marymontu – nosi dziś popularną Kościółka na górze...

Ksiądz od początku swego pasterzowania stał się legendą Marymontu uważany przez parafian za drugiego św. Franciszka, cały bowiem swój czas poświęcał posłudze biednym, chorymi opuszczonym.

W czasie okupacji czynny żołnierz AK jako dziekan przyszłych kapelanów Obwodu „Żywiciel”, od już w 1939 r. zorganizował na Polana Bielaskich przy ul. Lipińskiej 6 i 7 – byłym domu Akademickim dla studentów zagrożonych gruźlicą – schronisko dla Inwalidów wojennych, którzy wyleczywszy się z ran w Szpitalu Ujazdowskim, musieli go opuścić, a nie mieli dotąd, gdyż ich domy znalazły się nagle poza granicami Polski. Schronisko oficjalnie podlegało „caritas”, nieoficjalnie było również akowską komórkę Pomocy Żołnierzowi, jak również centrum krzewienia kultury, organizowania uroczystości w duch patriotycznym, w czym rej wodziła p. Byrska zam. p/ul. Barciciej 13.

Baraki na plebani kościoła „na górce” oddał ksiądz do dyspozycji kadr szkoleniowych AK, a skrytkę za ołtarzem na magazyn broni. Brał również udział jako stróż – wartownik w akcjach „N” BiP-u przeprowadzanych w zaciętej przez Niemców przedwojennej szkole gazowej położonych poniżej skarby.

Plebania była też centrum wyrabiania fałszywych metryk dla wykradzonych z getta dzieci żydowskim, i następnego umieszczania ich w rodzinach katolickich.

W czasie powstania ksiądz stał się legendą-tym razem Żoliborza-zwanym drugim księdzem Skorupką zawsze na pierwszej linii z ogromnym krzyżem w ręce i sanitariuszem spod obstrzału rannych.

Po zakończeniu wojny zorganizował wraz ks. Leonem Szlągiem – marianinem –kapelanem szpitala powstańczego Bielany, i z Władkiem Cichockim, studentem sierociniec dla dzieci po poległych powstańcach.

Aresztowany 17 stycznia 1949 r., a w dniu 16 stycznia 1950 r. skazany wyrokiem Rejonowego Sądu wojskowego z art. 86 par. 1.2 kodeksu karnego na 6 lat więzienia za „zdradę stanu; która to „zdradę” odsiadywał w więzieniu na Rakowieckiej, a po wyroku we Wronkach, gdzie pomimo wielokrotnych kar w postaci „karceru” nadał opowiadał współwięźniów, a miara jego szkodliwości przepełniła się, gdy nawrócić dwóch opiekujących się nim strażników.

Po licznych interwencjach uwolniony z więzienia stycznia 1953 r., jednakże bez prawa powrotu do swojej parafii. Przyjął to z właściwą mu pokorą. Został kapelanem s.s. Urszulanek w Łomiankach, jednak stan zdrowia zmusił go do przeniesienia się do Domu księży emerytów w Otwocku pod Warszawą, gdzie zmarł w dniu 26 czerwca 1965 r.

Msza pogrzebowa w kościele „na górce” zgromadziła nieprzeliczone rzesze wiernych. Pochowany w kwaterze księży Marianów na Cmentarzu w Wawszyszewie Zrehabilitowany 29 .III. 1957 r.

Robiło się coraz cieplej. Nadchodziła wiosna.

W tym czasie było nas już w klasie 45 uczniów. Zjawiali się ze szpitali, z obozów jenieckich – jeszcze w mundurach z przedziałów z USA.

Aż nadszedł dzień 8 maja, a za nim „Dzień Zwycięstwa”. Ten dzień – dziewiąty maja był dniem wolnym od szkolnych zajęć, za to wszyscy zostaliśmy obowiązani do stawienia się w szkole, by wziąć udział w uroczystym pochodzie mającym na celu uczczenia dnia zwycięstwa.

Wyznaczono nam miejsce w dalszej części pochodu.

Dzień był słoneczny, ale bardzo zimny. Staliśmy przy krawężniku czekając na swą kolej.” Lekkiej białej bluzeczce z krótkimi rękawami i równie cienkiej spódniczce trzęsłam się z zimna, a czekaliśmy długo/ nie mogę sobie zupełnie przypomnieć, skąd zdobyłam tak bardzo uroczysty strój – może z targu na Prawdze?/

Przed nami przesuwały się coraz to inne maszerujące czwórkami kolumny. W pewnej chwili uwagę moja zwróciła zwarta grupa robotników fizycznych.

Wzniesione w górę głowy, nad głowami ręce zaciśnięte w pięść. Szli butnie, podobni do ludzi rewolucji, gotowych natychmiast uderzyć na wroga. Kim był ten wróg?

O tym mówiła ich partyjna pieśń;

Gdy naród do bo już..."

Byłam wstrząśnięta. A najbardziej wrył mi się w pamięć

Refren:

„O, cześć wam, panowie magnaci,  
Za naszą niewolę, kajdany,  
o, cześć wam, książęta, hrabiowie, prałaci,  
za kraj nasz krwią bratnią zbryzgany....”

Śpiewali mocnym głosem i z całym przekonaniem o prawdziwości tego, no stanowiło treść pieśni. I wydawało mi się, że te słowa kierowane są do biednych i bosych, ale mających mimo to silną wolę dalszego kształcenia się, a zatem – że dotyczą przyszłej inteligencji pragnącej szczerze i rzetelnie pracować dla dobra Ojczyzny. A przecież i oni mieli przed wojną możliwość, jeśli tylko naprawdę chcieli. I ile regionów Polski osiągnęło dobrobyt tylko dzięki ofiarnej pracy owych „krwawych” hrabiów, którzy nie szczędzili wysiłków dla dobra miast i wsi...

Włączono nas wreszcie w dalszy ciąg pochodu. Pieszko dotarliśmy na Pl. Teatralny, centrum dzisiejszych uroczystości. Dzień był bardzo słoneczny, ale bardzo chłodny. Lekko ubrane, trzęsłyśmy się z zimna.

Rozejrzałem się dyskretnie na boki. W koło rumowisko.

Za nami do połowy strzaskane kolumny, a za nimi – ukryte wśród gruzów – armaty z lufami skierowanymi w dokładnie w naszą stronę. W taki to sposób zabezpieczono „nasze uniesienie” z powodu zainstalowania w Polsce nowych rządów.

Z obchodów wracałyśmy boszo. Szkoda nam było niszczyć i tak już rozlatujących się sandałów.

Maturę zdaliśmy 26 lipca.

W końcu sierpnia zostałem przyjęta na pierwszy rok Wydziału Lekarskiego U.W. – zaczęłam kształcić się dalej pomimo wszystko.

Postowie.

Warszawa powoli dźwigała się ruin.

Już na początku stycznia okutane w starte łachmany posłanie zaczęły snuć się po zwaliskach gruzów usiłując przedostać się do ocalałych piwnic. Wkrótce też ponad rumowiskiem rozwalonych domów pojawiły się dziwne, sklecone z resztek blachy rury, , których snuły się zwolniony smugi szarych dymów.

Były to naprędce sklecone kominy tak zwanych kóz prowizorycznych pieców służących do ogrzania „pomieszczeń”, w których tłoczyło się razem co to raz więcej rodzin, jak również pełniło funkcję małej płyty kuchennej , na której z wielkim trudem można było umieścić rondelki ziemniaków zdobytych na targowiskach niezniszczonej Pragi.

Ale aby tam dotrzeć, trzeba było przeprowadzić się po lodzie na drugą stronę rzeki, a to nie było łatwo, jeszcze wszędzie miny-saperzy dopiero wkraczali do akcji.

Od czegoż jednak przysłowiowa już zaradność warszawiaków, która ujawniła się w czasie okupacji.

Powracając do Warszawy ludność witały pełniące rolę szyldów kartki z napisem: „Ciepła zupa”, a nawet: „tutaj przewróconych barykady tramwajów, a babinki otulone w co się tylko dało, rozpięły się dumnie ich stopniach, tak jakby to były co najmniej słynne w stolicy sklepy Braci Jabłkowskich. Pomimo śniegu i pomimo mrozu.....

Powoli z rumowiska wyłaniały się ciągi głównych ulic. W końcu marca wiele jezdni centralnych ulic stolicy było już całkowicie oczyszczonych z gruzu. Saperzy .. oczyszczali miasto z niewypałów. Do 10 kwietnia zebrali 19.300 sztuk różnego rodzaju pocisków, zniszczyli 17.636 .... 26 kwietnia nastąpiło

uroczyste uruchomienie elektrowni warszawskiej o mocy 65.000 Kw., a 3 maja w Muzeum Narodowym została otwarta wystawa .. pt. „Warszawa oskarża”. I my również każdą wolną chwilę poświęcali my na usuwanie gruzu, przerzuciwszy uprzednio kładkę nad czeluścią piwnicy, w miejscu, gdzie dawniej znajdowały się schody.

Zdobywszy trochę wilgotnych, ociekających żywicą desek, włożyliśmy z nich coś na kształt podłogi. Otwory po oknach udało się zakryć dyktą pozostawiając w nich tylko mały prześwit z szybką.

Przywlókłszy skądś dwa pieńki, położyliśmy na nich nieoheblowaną deskę improwizując w ten sposób nasz „biesiadny” stół. Za krzesła posłużyła oczywiście podłoga.

Tak więc spełniały się powoli prorocze słowa Leopolda Staffa pisane w 1942 r., a więc przed Powstaniem, ale już po zniszczeniach 1939 roku:

Będziemy znowu mieszkać w swoim domu,  
będziemy chodzić po swych własnych schodach.  
Nikt o tym jeszcze nie mówi nikomu,  
Lecz wiatr już o tym szepce po ogrodach...  
Nie patrz na smutnych tych ruin zwaliska.  
Nie płacz. Co prawda, łzy to rzecz niewieścia.  
Widzisz: żyjemy, choć śmierć była bliska.  
Wyjdźmy z tych pustych ulic na przedmieścia.  
Mińmy bezludne tramwajów przystanki.  
Nędzna kobieta u bramy wyłomu  
Sprzedaje chude, blade obwarzanki.  
Będziemy znowu mieszkać w swoim domu.  
Przejdą dni ciężkie klęski i rozgromu  
I zapomnimy o ranach z uszkodach.  
Będziemy jeszcze mieszkać w swoim domu,  
Będziemy stapać po swych własnych schodach.

Do tak urządzonego, jak wyżej opisałem, domu, wprowadziliśmy się w dniu 24 grudnia 1945 r.

Szczęśliwi usiedliśmy po prostu na podłodze.

Byliśmy znowu razem, odnalezieni po wielomiesięcznej rozłące, byliśmy znowu w swoim własnym domu.

Dom polski był zawsze ostoją i nadzieją, tu koncentrowało się rodzinne życie, na jego progu znikła nie i wiara i rozpacz, tu miało swoje źródło spełniane się nadziei.

A najbardziej cementującym momentem rodzinnego życia była zawsze wigilia i wigilijna wieczerza, która zasięgiem obejmowała zazwyczaj nie tylko najbliższą rodzinę, lecz rozciągała się dalej ku reszcie społeczeństwa.

Na stałe z deski zapaliliśmy już nie „psie oczko” z łuski karabinu lecz prawdziwą świecę. Świeciliśmy wilię – znowu pierwsza tak , jak w 1939 r. na długie lata niewoli.

Lecz świeciliśmy ja pomimo wszystko.,.

Na granatowym niebie rozbłysła pierwsza gwiazda....

Tekst przepisany z oryginału w Muzeum Powstania Warszawskiego, 2020 r.

© Izabela Sianko, "Leśna". Dalsze wykorzystanie tekstu jedynie za zgodą Autorki.